Lwów. 6. Grudnia №143. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za do płatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

KRÓL DZIADÓW.

VI.

Niespodzianki balowe.

(Ciąg dalszy).

To też po śniadaniu wszyscy byli jak na szpilkach. Nie uważająe na hygieniczne przepisy trawienia, kręcili się wszyscy z miejsca na miejsce, szperając po wszystkich kątach, czy gdzie ukrytej nie zwietrzą tajemnicy; co chwili podskakiwali wyciągając szyję ku oknu, czy z tamtąd tajemnica nie zawita jaka. Nareszcie niepokoiła także nieniepomału niebytność rodziny Wyżyńskich, których jak wiemy spodziewali się, i których radziby choć ujrzeć, by spożyć oczami, a słowami przetrawić. Że coś tam było, i jakoś się święciło, to nawet mieli może i słuszność. Bo dla czegoż i sami Krajkowscy, a mianowicie on sam i znajoma nasza Piotrunia, która jako mężatka najwięcej się ruszała, dla czego tak widocznie się kręcą, i do okna zachodzą, i synów na dziedziniec wysyłają, z dodatkiem córek, które na ochotnika z nimi wybiegają. Jedna tylko między niemi, najstarsza po Piotruni, Binia czyli Sabina, znana z swej pustoty i żywości, dziś właśnie najpoważniej się przechodzi z jakimś uroczystym wyrazem do twarzy jej nie stósownym. I to nie bez kozyry....

Coś przecie zaturkotało. Jakby trzęsienie ziemi wszystkich podrzuciło i spędziło do okna. To tylko ksiądz Gwardjan jak poznali po jego krytej, żółto pomalowanej bryczce i po trzech źrebiętach, bieżących za dwoma klaczami srokatemi przy bryczce.

A może i na niego czekają? ale dla czego?... jakby prądem elektrycznym przebiegło wszystkie spojrzenia.

Po przywitaniach i różnych grzecznościach jakoś się jeszcze nie kleiło. Pan Krajkowski jeszcze do okna patrzał i łysinę nacierał, co u niego było dowodem jakiegoś głębokiego namysłu. Tak minęło z pół godziny, przy ciągłym namłocie sieczki i plewy. Nagle odwrócił się pan Krajkowski, spojrzał na zegar, który w kącie na bronzowem kole wskazywał czas ulatujący, krząknął i okiem rzucił na żonę. Pani Krajkowska obejrzawszy się jakby kogo szukała, wyszła z pokoju i po chwili....

Ciężka to była chwila dla towarzystwa Niżynieckiego; nie jedna sznurówka pękła od bijącego ciekawością serca.

Po chwili tedy wróciła prowadząc za sobą Binię, tak czerwoną, jak nigdy nie była za pamięci Niżyńczanów, nawet gdy w piłkę z burmistrzownemi i kadetem grała na dziedzińcu u kontrolora przed półtora rokiem. Czerwona jak!.. lecz jak mnie tak i wszystkim zabrakło porównania.

— Źle!... to coś będzie! zatykotały serca.

I ni z tego ni z owego, przysunął się pomału z środka mężczyzn, występujacy poważnie, powolnie z bankienbartami jakby przylepionemi do twarzy, snać je długo z rana chusteczką obwiązywał. Kto?.. wystąpił pan respicjent Hektor Bums, o którym nikt nie myślał.

— Zdrajca! pomyślała aptekarzowa; nigdy tak wygłaskanych niemiał bakenbartów.

Nie dosyć na tem; ale i Piotrusia przysunęła się trzymając w ręku.... Co to?... Dalibóg z tacką.... Ale co na tacce, nikt jakoś dostrzedz nie mógł. Bodaj te głębokie tacki.

I przystąpił ojciec, i przystąpił ksiądz Gwardjan....

— Fe! to coś okropnego! pomyślały wszystkie oczy.

Przemówił ojciec i spłakał się, ale zaraz po tem śmiał się i jakimś mazurskim ruszył konceptem.

Matka nic nie przemówiła, ale się także spłakała, i nie prędko chłodny i grzeczny uśmiech rozweselił szczerze zasępioną twarz.

Przemówił ksiądz gwardjan, nie spłakał się, ale za to pobłogosławił tackę, czy to co było w tacce, i wyjął z niej....

To były po prostu zaręczyny panny Sabiny Krajkowskiej z panem Hektorem Bums.

— Na świętego Michała, taj po żniwach będziemo się weselili! przemówił ojciec, w którego jednem oku była jeszcze łza ojcowska, gdy już drugie miało w sobie figlarnego djablika mazurskiego.

Aptekarzowa sama nie wiedziała, czy ma rozpaczać czy się cieszyć. Bums ją zdradził, ale nie dla exaptekarzowej przecie.

Zaręczony miał postawę spokójną, zimną i uroczystą, jak przystało na taką chwilę i takiego człowieka, który jest już i takim urzędnikiem, i pochodzi z rodu ta-

kiego, a ma przytem kilkanaście książeczek szparkasowych.

Panna zaręczona dziwnie jakoś wyglądała, nie było w jej oczach ni prawdziwej uciechy ni prawdziwego rozczulenia, jakie w takiej chwili wypływa z kolizji uczuć tkliwych. To pewna, że nie była wesoła, nie tak smutkiem, ale raczej jakiemś zamyśleniem, zdającem się wraz z okiem biedz gdzieś dalej, gdzieś indziej. W jej oku w tej chwili ku oknu zwróconem był rodzaj tęsknoty, i nawet wraz z wzrokiem i myślą pomknęło lekkie westchnienie.

Ileż to razy w życiu ta trójca wybiegnie razem, nie zdybie, i wróci łzą do oka, kamieniem na serce, kirem żałoby do głowy! Sama ani się domyślała o tem, że jeszcze nigdy w życiu tak piękną nie była, jak w tej chwili. Znikła rubaszna mazurka; stała natomiast dziewica, opromieniona uczuciem, które raz choć w życiu, każdą Galateę ożywić jest zdolne.

Nawet Niżynieckie panie to pojęły, i mimowolnie szeptały do siebie.

— Jaka piękna! nigdyśmy tego nie uważały.

Ale one przypisywały to wpływowi zaręczyn, które mają już coś w sobie wpływu dnia weselnego. I zamężne westchnęły za tym dniem, który już nigdy nie wróci. A niezamężne westchnęły, aby ten dzień pożądany jak najprędzej dla nich przyszedł.

Binia ani się domyślała o wrażeniu, jakie sprawia, ona się sama zapomniała.

— I ani razu nie popatrzyła na pana młodego! ozwała się z chwilowego rozczulenia budząca się krytyka kobieca.

W oku matki było także podobne jak u córki zamyślenie, i jej oko z rodzajem tęsknego żalu patrzy przez okno gdzieś w dal, w przeszłość może, czy przyszłość! czy tam, gdzie nadzieje są zawiedzione, czy tam, gdzie się próżne roją nadzieje.

— Szkoda! wymówiła matka półgosem, i urwała.

To słowo jakby odkleło nieruchomą narzeczonę. Odwróciła się ku matce, jakby chciała mieć to słowo od niej wytłumaczone, i poniosła ku oczom chusteczkę. Do haftowanej chusteczki padł najczęstszy haft chustek ludzkich... łza!...

Znowu zaturkotało. Wszyscy pobiegli znowu do okna, i ujrzeli ładny wcale koczyk, zaprzężony dwoma staremi anglezami, które konesory Niżynieckie prawdziwemi anglikami być uznali.

— A to cała awantura! mówiły usta i oczy przytomnych pań i panów na widok wysiadającej z powozu rodziny Glinieckich w towarzystwie naszego Eugeniusza, którego wyższe, estetyczne uczucie wystąpiło na twarz rumieńcem wstydu za towarzystwo, w jakie jak wiemy przymusem wlazł.

Gliniecki za to i obie panny promieniły się dumą i nadzieją.

— Geniuszek! przecie! zawołała cała rodzina Krajkowskich.

— Mama nie przyjechała! przemówiła pani Henryka do wchodzącego. Szkoda! dodała z wyrazem, który tłumaczył to słowo raz już wyrzeczone.

— Ojciec.... zaczął nieumiejący kłamać młodzieniec.

— Pewnie słaba! zagadła prędko pani Krajkowska, przez wzgląd na gości swoich, wyciągających ciekawe szyje i uszy.

— Szkoda! powtórzyła jak echo panna narzeczona, i czerwieńszy jeszcze rumieniec okrasił dorodne jej lica.

Lecz to słowo w jej ustach inne miało znaczenie, głębsze daleko. Ona przypomniała sobie w tej chwili dawniejsze lata dzieciństwa i pierwszej młodości, tkwiące w jej sercu dziewiczem. Ileż to razy, gdy dorostkami bawili się z sobą, nazywano ich żartem mężem i żoną. W każdym żarcie połowa jest prawdy, i tak było w słowach rodziców, mianowicie matki, która małego Jeniuszka serdecznie kochała i przeczuwała w nim wyższe usposobienie, czulsze serce. Ale w sercu Sabinki słowa te były zupełną prawdą; ona całem sercem przywiązała się do kuzynka, a mierząc jego przywiązanie po swem własnem, nieraz słodkie roiła marzenia, niewyraźne, mgłą jeszcze pokryte, ale tak już lube, tak mocno w serce wrośnięte, że od dnia do dnia oczekiwała jak w starych bajkach wracającego z wypraw ślicznego rycerza po jej serce i rękę. A ten rycerz marzony miał zawsze twarz drogiego kuzynka. Kiedy jej rodzice po raz pierwszy powiedzieli, że pan Hektor oświadczył się o nią, nie mogła wytrzymać, i:

— A Eugeniusz, wyrzekła.

Matka westchnęła tylko, a ojciec zaśmiał się i wyłajał w dodatku.

— Śmieszna dziewka! wyrzekł. Na co nam tego; i hrabia i goły.

Kolej westchnienia przyszła na Sabinkę. Ale w sercu młodem nadzieja nie tak łatwo gaśnie, ona do ostatniej chwili marzyła o pięknym rycerzu, i mieniając pierścionki nawet spodziewała się, że przyjazd Eugeniusza wszystko przemieni. Dla tego nie popatrzyła nawet na narzeczonego, ale tęsknem okiem patrzała przed siebie. Ładny rycerz nie przybył, zaręczyny zostały dokonane; marzenie rzeczywistością rozwiane, serdeczną łzą ściekło z oka; ból został w sercu, który wnet wyrugują z niego codzienne zajęcia i nowe obowiązki.

Ileż to takich niedokończonych powieści sercu urywa się na zawsze w latach młodości. Zostaje tylko po nich wspomnienie, padające jak promień wiosennego słońca na ciężką taczkę życia. I jeszcze mocniej zabolało ją serce,

gdy się zbliżył do niej Eugeniusz, na wstępie przez wszystkie głosy Krajkowskich uwiadomiony o odbytym akcie, i szczerze jej winszował...

— Ty mnie winszujesz? ledwie nie wyrzekła z wyrzutem słowami, co mówiły jej oczy.

Eugeniusz nie zrozumiał niemego wyrzutu, bo on sercem i myślą był daleko; przy pięknej Hani. Witał się z całą rodziną najserdeczniej, bo i on przypomniał sobie wesołe lata dziecinne, i własnem czuciem odgadywał poczciwe serce Krajkowskich. Synowie i córki obściskali go najserdeczniej, zasypując go tysiącznemi, najprozaiczniejszemi pytaniami.

Eugeniusz oddał usciski, i na pytania odpowiadał najcierpliwiej, chociaż w głębi serca był niesmak. Zwykły to niesmak jaki wynika z uderzenia prozy o uczucie poety. Między nim a mówiącemi stanęła postać Hani, w całym uroku poezji, w jaką ją serce jego odziewało.

— Jaki on piękuy! mówiły panie Niżynieckie do siebie wpółgłosem niby, ale tak nie cichym, że się aż Piotrunia spoglądając na aptekarzową, stojocą z wlepionemi na Eugeniusza oczami, uśmiechnąć musiała.

— Ale zkąd on przyszedł do towarzystwa Glinieckich? szeptały panie do siebie, mierząc pogardliwie stare perkalowe sukienki przybyłych panien.

— Hrabskie długi chce spłacić ekonomskiemi pieniądzmi, powiedzieli mieszczanie z tą zwykłą im wszystkim niekonsekwencją. Demokraci dla wyższych, arystokraci dla niższych.

Gliniecki tymczasem rozdzielał ukłony na wszystkie boki, wywijając długiemi u starego fraka połami; i rozpowiadał każdemu, że młody hrabia sam do niego przyjechał i zabrał z sobą do kocza. A panny Glinieckie wtorowały ojcu dygami, spoglądając ciągle na Eugeniusza, którego niemal już jak własność swoją uważały.

— Pan Eugeniusz rumieni się jak panienka, rzekła głośno śmiała Frania, mrugając na niego.

— Jak róża! szepnęła Marysia, nie myśląc nawet o tem, że już ją poetyzowało budzące się w niej uczucie.

Ośmielona serdecznem witaniem Sabina, połykając żal, który zresztą nie mógł być długim gościem w sercu wesołej mazurki, zbliżyła się do niego.

— I któraż z nich podoba ci się lepiej? spytała wskazując obie Glinieckie, przypatrujące się z upodobaniem w ogromnem lustrze swoim twarzom i szalikom.

— Mnie żadna!...

— Żadna ci się jeszcze nie podobała? pytała dalej i serce jej zadrzało raz jeszcze.

Eugeniusz z razu nic nie odpowiedział, popatrzał tylko na nią wzrokiem zamyślonym.

— Tyś już szczęśliwa wyrzekł nareszcie.

— Szczęśliwa?...

— Kochasz i będziesz jego żoną!...

— On już kocha kogoś! przemówiło w jej sercu dziewiczem.

I jeszcze więcej się do niego zbliżyła, i ścisnęła mu rękę z szczerem współczuciem. Ona mu w tej chwili przebaczyła cały zawód jej serca.

— Pan hrabia dobrodziej nie przypomina mnie sobie! zagadł głos jakiś tuż nad echem Eugeniusza.

Pan Szumski w czamarce stał przed nim, przybrawszy uroczystą minę i postawę, jakby protokół zaczynał...

— Nie, prawdziwie!

— Jestem Szumski! odrzekł pan justycjarjusz głosem takim, jakby mówił: jestem Napoleon. Milczenie Eugeniusza biorąc za potwierdzenie.

— Bywałem w Niżyńcach, gdyś pan był jeszcze małem dzieckiem.... Pozwoli pan!... dodał wziąwszy za rękę zaambarasowanego młodzieńca, poprowadził wprost do swoich córek, które wraz z licznem gronem dziewcząt stały przy jednem oknie, poskubując rozstawione na nim kwiaty.

— Pan hrabia Eugeniusz Wyżyński.... moje córki Tekla i Barbara Szumskie.

Eugeniusz ukłonił się ledwie wiedząc, czego chcą od niego. Panny dygnęły, patrząc w około, czy koleżanki widzą zaszczyt, jaki ich spotyka.

— Pan lubi kwiatki! zagadła czemprędzej Teklusia bojąc się, by ładny hrabia nie wymknął się jej.

— Któżby nielubił kwiatów! odrzekł bez myśli, oglądając się za jakiem zbawieniem....

— A jakie kwiatki pan lubi najwięcej! pytała Basia.

— Byle nie w wazonach, które są dla nich więzieniem.

— Pan pewnie lubi goździki wyrwała się Teklusia cała uradowana, że się jej udało wściubić taki dowcipny i zaczepny koncept.

— Goździki? odrzekł Eugeniusz machinalnie nierozumiejąc zapytania, i co prędzej odwrócił się do zbliżającego się Adasia.

— Przyznał się! przyznał! mówiły siostry do siebie, klaszcząc w dłonie. I uciekł! bo się wstydzi...

— Co szczebiocą moje rybeczki? zagadł stary i trzęsący się głos Wiciewicza, ubranego w odwieczny frak bronzowy ze stalowemi guzikami.

Pan Wiciewicz bowiem stał już od chwili, otoczony młodemi dziewczętami, które nie zważając na wiek, brzydotę i okropny zapach tytuniowy, umizgały się do niego na piękne. Bo wieść nosiła, że mimo wieku i skąpstwa Wiciewicz miałby ochotę żenienia się jeszcze. Każda z przytomnych panienek chętnieby poszła za niego. Mimo panieńskiej przyjaźni, jaka łączyła panny Szumskie z kontrolorówną i dwiema siostrami pani aptekarzowej, było nawet z tego powodu wielkie między niemi współzawodnictwo. Jedna drugą obmawiała przed Wiciewiczem, sadząc się na uśmiechy zalotne i słówka pełne dwuznacznej słodyczy.

*

— Jak pan ślicznie wyglądasz! mówiła jedna.

— Pan codzień młodnieje! mówiła druga.

— Z pana wielki bałamut! mówiła trzecia.

— Czemu się pan nie żeni! mówiła najodważniejsza kontrolorówna, spuszczając wstydliwie piwne oczęta.

A każda marzy;

— Gdyby mnie wziął stary dziad! wnet by umarł i zostawił mnie bogatą wdową. To to bym używała, a przyjaciółki moje jakby mi zazdrościły! C. d. n.

ORZEŁ HETMANA.

(Według dawnego podania).

I.

Słońce błysło wysoko,
Skwar południa dogrzewa:
Ciszę głuchą, głęboką
Czasem świerszczek przerywa:
Tu się łąka zieleni,
Tam na lewo pasieka,
A w kolistej przestrzeni,
Las sinieje z daleka.

Bliżej nieco Turynka *)
Swym zameczkiem świeciła;
— Wojewody to synka
Znać piastunka złożyła,
Drobne dziecię złożyła
Śród powiewnej traw fali,
Stasia piosnką uśpiła
Sama znikła w oddali!...

Słońce w ziemskie obszary
Śle promienie z ołowiu,
Dziecku szkodzą te żary;
Na kwiecistem wezgłowiu,
Utrudzone spiekotą,
To się zerwie po chwili,
To za matki pieszczotą,
Niebożątko zakwili....

Ciemnopióry w tem nagle
Wielki orzeł wypłynął,
Żartkich skrzydeł swych żagle
Nad dziecięciem rozwinął...
Rozłożystą zasłoną
Blask mu słońca przecina,
Że pod piór tych ochroną,
Znów usnęła dziecina!!

* Miejsce urodzenia Hetmana W. k. Stan. Żółkiewskiego, i kancl. k...

— Spij pacholę, spij sobie
Na zielonej tu trawie,
Zamarz w jasnej dnia dobie
O Hetmańskiej buławie;
Niech ci przyszłość odsłoni
Bohaterskich lat czyny,
Ślady krwawych pogoni,
I Kluszyńskie wawrzyny.

Sny w pamięci się ryją,
Może marzy dziecina:
Że jej cary łbem biją
Śród przepychów Kremlina,
Że przez bitew pożary
W gronie dzielnej czeladzi,
Jagiellonów szczep stary,
Na tron Szujskich prowadzi....

O! nie śmiejmy przerywać
Marzeń złotych dziecięcych,
Bo mu lubo spoczywać
W cieniu skrzydeł orlęcych...
A ty ptaku uwiśnij
Śród chyżego polotu...
Strzeż pacholę Hetmana
Do piastunki powrotu...

II.

Po nad Dniestrem wojsko nasze,
Po nad Dniestrem krwawe ptaszę
Polskę wiedzie w bój!
I dziś znowu tak jak wczora,
Woła łzawo: „to Cecora!
To grób będzie twój!!..."

I bok cały ma skrwawiony,
I wzrok w wodza ma wlepiony,
I żałobny śpiew;
I nieszczęsne wróży boje,
Bezowocne znaczy znoje
Lejąca się krew.

Ale Hetman osiwiały,
Syt i życia, syt i chwały
Za nic ma ten wrzask;
Bo on zawżdy szedł na przedzie,
Bo on chętnie swoich wiedzie,
Gdzie morderczy blask.

Od Byczyny do Kluszyna,
Walczyć jemu nie nowina,

A hetmani wciąż,
I ta sława to nie płocha!
Bo go wojsko całe kocha
Jakby jeden mąż.

Mimo prac i lat sędziwych
Zazdrość podłych dusz i mściwych,
Nie da spocząć mu..
Ni siwizny zniedołężyć;
Jemu trzeba tu zwyciężyć
Albo upaść tu!...

Czemu orle tracisz ducha?
Że cię Hetman dziś nie słucha,
Zgubny wróżysz czas?
Hetman zgon olbrzymów marzy,
Oba dzielni — oba starzy,
Gińcie oba wraz!...

Gdzie największa Turków siła,
Z trupów piętrzy się mogiła,
Hetman toczy bój!
Nad nim orzeł krąży w koła,
I żałośnie za nim woła;
— Tu grób będzie twój!!

Padł Żółkiewski jak dąb stary!
Nad nim pastwił się i wiary
I ojczyzny wróg!....
A martwego orła ciało
Hej! za wodą gdzieś spływało
Na Dniestrowy próg....

1855 Listopad. Dubiecko. *A. z S. K.......*

NOWOŚCI LITERACKIE.

Spotkanie w Salzbrunn

opowiedziane przez J. Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy).

Jest w Salzbrunn zwyczaj, którego u innych wód nie ma, że po obiedzie każdy wypija połowę tej ilości kubków, jaką wychylił z rana. Czy dodatek ten dopomaga kuracyi, tego nie wiem; ale że to zebranie się poobiednie wszystkich gości miłe jest i że woda w tej porze daleko lepiej smakuje, niż z rana, tego doświadczyłem na sobie. Powtórzony ten kurs na promenadzie zaczyna się o godzinie piątej. Gdy muzyka da się słyszeć, wszyscy wychodzą ze swych kryjówek, witają się z sobą, jak gdyby się Bóg wie jak dawno nie widzieli. Galerja i promenada zapełnia się w mgnieniu oka, a gdy jest ciepło i pogodnie, kobiety pokazują się postrojone, i czując, że w tej zbroi wdzięków są potężniejsze, patrzą śmielej, mówią więcej i głośniej, uśmiechają się powabniej i częściej.

Jest to więc najprzyjemniejszy moment z całego dnia, którego nikt nieopuszcza, tak dalece, że osobliwie Polki, które zrana zaspią i nieprzychodzą wcale lub przychodzą późno, po obiedzie zwłaszcza w pogodę, są zawsze, i tem milsze są i grzeczniejsze, im lepiej i gustowniej ubrać się mogą.

Tego samego dnia, gdy mi nieznajoma moja błysnęła na wieży, przyszedłem do źródła wcześniej niż zwykle, i właśnie wtedy, gdy dyliżans, przywożący nowych gości z kolei Frejburskiej, toczył się przed kolumnami galeryi. Powóz był pełny a między twarzami wyglądającemi przez okna zdawało mi widzieć kilka polskich fizionomij. Że to w Salzbrun rzecz nieszczególna, bo u którychże wód nie ma Polaków, nie zwróciłem na to uwagi, i wychyliwszy z apetytem pierwszy kubek tak nazwanego *brunu*, przechadzałem się spokojnie, oczekując zebrania się wszystkich, i ciekawy, czy między innemi pokaże się i ta piękna pani, która mię tem bardziej zajęła, im bardziej mię uderzył kontrast jej tajonych łez i przymuszonego uśmiechu, im pewniejszym byłem, że w sercu jej toczy się ukryta walka, która ją tyle kosztuje, im wyższego nabyłem wyobrażenia o jej wdziękach i wysokiej kobiecej biegłości.

Gdym się zawrócił od końca promenady, i szedł na powrót ku źródłu, wśród gromadzących się co chwila gości postrzegłem idącego spiesznie mężczyznę, który oglądał się niespokojnie, każdą przechodzącą osobę lustrował, tak, iż łatwo się było domyśleć, że kogoś szuka i z trwogą patrzy na prawo i na lewo, jakby się bał, że się w nadziei swej zawiedzie. Z postawy, z ruchów i z twarzy zdawał mi się znajomym. Jakoż gdy się zbliżył, poznałem w nim mojego towarzysza podróży z Rokicin do Częstochowy. Ta sama męzka piękność widna była na jego licu; ale wydawał mi się bledszym, oczy miał zapadnięte i w spojrzeniu jego leżał jakiś gniewny mars, jakby upadek tych nadziei, które je dawniej ożywiały. Gdy mię spostrzegł, zatrzymał się, zmierzył mię od stóp do głowy i widząc, że nie unikam jego wejrzenia, ale owszem patrzę nań z uśmiechem, zbliżył się, podał mi rękę i rzekł:

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, i jak się zdaje w dobrem zdrowiu i humorze. Zapewne mię pan poznajesz. Jechaliśmy z sobą kilku godzin razem. Ja tylko com przyjechał. Nie wiem czy tu znajdę kogo znajomego. Choć więc znajomość nasza kilkugodzinna, proszę mię nie uważać za obcego. W miejscu takiem jak Salzbrun przykro jest błąkać się samemu i nie mieć do kogo słowa przemówić. Mieszkam w Królestwie, w Radomskiem, nazywam się Władysław S*, dodał niby rekomendując się.

Chcąc mu się wywzajemnić odpowiedziałem:

— Ja także jestem mieszkańcem Warszawy i nazywam się...

— O! niepotrzebujesz mi pan tego mówić, rzekł seryo i patrząc mi w oczy, poznałem pana jeszcze w wagonie z portretu, który mam u siebie, i z domyślnego uśmiechu, jakim mi odpowiedziałeś w Piotrkowie, gdym pana zachęcał abyś poszedł cokolwiek przekąsić.

Ci wszyscy, których portrety przedają się za szkłami magazynów, księgarni, usprawiedliwią mię, gdy powiem, że ujęty temi słowy, pomyślałem zaraz: musi to być jakiś porządny człowiek; widocznie zrobiłem mu krzywdę, wziąwszy go za szulera i awanturnika. Gdyśmy szli razem, p. Władysław wypytywał mię kto jest w Salzbrunn z naszych rodaków? jak się bawiemy? jakie między naszemi ziomkami powiązały się koterye? czy mi wody służą, czym przestrogi jego o tej nudnej mieścinie znalazł sprawiedliwemi? i t. d. Zaspokoiłem prędko jego ciekawość w tem wszystkiem, o co mię zapytywał, a on oglądając się ciągle na wszystkie strony dodał:

— Zawsze i wszędzie jesteśmy jednakowi. Próżność i głupstwo towarzyszą nam w domu i za domem, w kraju i za granicą. Gdziekolwiek się zbierzemy, czy po to żeby się bawić, czy po to, żeby coś użyteczniejszego przedsięwziąć, musiemy się wprzód dąć jedni przed drugimi, musiemy się podzielić na drobne, zawadzające sobie kupki, jedni drugim coś zrobić na złość, podąsać się wzajemnie na siebie, a tym czasem minie czas i do zabawy i do sprawy, a kiedy się nareszcie do siebie zbliżymy, już dobra pora zginęła, i jedni drugim przypisujemy winę, że się rzecz nie udała. Smutno to, ale nie ma o czem mówić. Już nas nic nie zmieni. Zresztą nie wiele mię to obchodzi. Nie myślę przystawać ani do jednej strony, ani do drugiej, gdyż krótko zapewne zabawię. Tem milszem mi więc będzie towarzystwo pana, jeżeli pozwolisz, abym ci się narzucił.

Podałem mu rękę, a on dalej tak mówił:

— Z tych pań, o których pan wspomniałeś, nie znam także żadnej a przynajmniej bliżej. Niektóre widziałem z daleka i żadna nietentuje mnie, abym dla jej miłości przeszedł przez przykrą dla mnie formalność rekomendowania się. Jestem cokolwiek obcesowy, czego pan masz dowód na sobie; ale jeżeli do kogo przystąpię, to wprzódy muszę być pewnym, że się nie zawiodę. W młodości oszukałem się nieraz, dawszy się ująć zwodniczym wyrazem twarzy. I nie dziw, bo nic tak nie oszukuje, jak fizjonomia Polek. Podobne one są po większej części do kamelii. Kto nie wie, przysiągłby, patrząc na ten śliczny kwiat, że on tchnie najsłodszą wonią. Tym czasem nic w nim nie ma, oprócz cudnych form i prześlicznych kolorów. Tyle jest u nas pięknych kobiet i na pierwszy rzut oka z duszą i dowcipem. Bliższe poznanie okazuje najczęściej, że to fatalne złudzenie. Dziś niełatwo dowierzam ich oczom, z których zdaje się tryskać rozum, choć go nie ma i ich słodko uśmiechniętym ustom, tchnących niby uczuciem, mówiącym niby o gorącej duszy, choć w sercu ich tylko chłód, choć całe przeszły fraszką i próżnością. Pan musisz także być fizyonomistą, dadał uśmiechając się.

— Zkądże pan o tem wnosisz? zapytałem.

— Jużci wnoszę z tego, com czytał, odpowiedział, i z tego, com widział.

— Coś pan widział, rzekłem cokolwiek zadziwiony.

— Pamiętasz pan tę młodą kobietę, mówił spuszczając oczy, która jechała z nami z Rokicin?

— A! ta pani w kapeluszu z błękitnym powojem, rzeklem uśmiechając się.

— Pan się uśmiechasz? mówił zsuwając brwi. Uważałem dobrze, żeś ją pan z oka nie spuszczał. Śledziłeś pan każde jej poruszenie, studyowałeś ją. I nietylko ją, rzekł biorąc mię za rękę, i patrząc mi w oczy. A gdy wyczytał we wzroku mym potwierdzenie tego co mówił, dodał: Nie omyliłeś się pan. Jest to istota excepcyonalna, warta pańskiego studyum, warta jego pióra.

— Bardzo panu dziękuję, odpowiedziałem, za tak pochlebne mniemanie o moich siłach. Ale wątpię, żebym mógł odgadnąć myśli i uczucia takiej kobiety, i zdolnym był odmalować tak piękne i zapewne, bardzo kunsztowne stworzenie Boże.

— Kunsztowne, mówisz pan, rzekł potrząsłszy głową, prawda, możeś pan trafił na epitet który jej służy.

— Wówczas, odpowiedziałem, gdym ją pierwszy raz widział i tak pilnie obserwował, znalazłem ją tylko piękną, stojącą może na niebezpiecznej drodze i dziwnie interesującą. Epitet ten, który jej teraz daję przyszedł mi dziś...

— Dziś! zawołał p. Władysław, więc ją pan dziś widziałeś? więc ona tu jest?

— Jest, odpowiedziałem, nie dziwiąc się bynajmniej, że drżał słuchając mię i że twarz jego widocznie bladla. Ale pewny jestem, że przybyła niedawno, bom jej przedtem nigdzie nie widział, i dziś dopiero spotkałem ją na Wilhelmshöhe, na wieży, gdzie stała sama jedna, zamyślona, patrząca ku równinie Wrocławskiej, przesyłająca tam komuś pożegnanie i ocierająca łzy, których pozazdrościłem temu, dla kogo były wylane. C. d. n.

Cesarz Mikołaj
i jego córka.

(Dokończenie).

Na drugi dzień przy zwykłym przeglądzie, Cesarz, którego oko orle przwyczajone było wszystko jednym przejrzeć wzrokiem, nic nie szukał i nie widział, tylko zielony

pióropusz i czarnego konia. I postrzegł go, i poznał w nim prostego półkownika lekkiej konnicy bawarskiej. Był nim Maxymilian Józef Eugeniusz August Beauharnais, książę Leuchtenberski, najmłodszy syn syna Józefiny, która przez krótki czas była cesarzową francuzką, i Augusty Amalji córki Maxymiliana Józefa Bawarskiego; młodzieniec powszechnie wielbiony.

— Czy to być może, przemówił cesarz sam do siebie, i przywołał pułkownika, aby go nazad do Mnichowa odesłać. Ale w tej samej chwili, kiedy już chciał wyrzec to złowrogie słowo, oko jego padło na powóz cesarski, i ujrzał córkę zemdlałą.

— Niema żadnego wątpienia! to on! pomyślał cesarz, i odwróciwszy się niewyrzekłszy słowa od przestraszonego cudzoziemca, wrócił z córką do palacu.

Całe sześć tygodni próbował cesarz wszelkich środków, jakie mu poddawał rozsądek połączony z surowością i miłością ojcowską razem, aby wygładzic to uczucie z serca córki.

Po pierwszym tygodniu cesarzówna zdawała się być spokojną; po drugim ciche wylewała łzy, po trzecim przestała ukrywać łzy swoje; po czwartym chciala się poświęcić woli ojca, po piątym była już śmierci bliska.

Przez ten czas pułkownik postrzegł, że wpadł w niełaskę u dworu, i choć nie śmiał sam przed sobą wyznać, jaka temu być może przyczyna, nie chciał przecie wyczekiwać aż mu każą wyjechać. I właśnie postanowił odjechać do Mnichowa, gdy mu adjutant cesarza przyniół rozkaz, aby się stawił w cesarskim pałacu.

— Wczoraj jeszcze trzeba mi było odjechać, mówił sam do siebie: byłbym uniknął tego, co mnie teraz oczekuje. Mądra to uwaga, że za pierwszem huknieniem burzy lepiej uciec, niżeli doczekać się piorunu, który ugodzić może. Wszedł wreszcie do pokoju, do którego tylko królowie wchodzić zwykli.

Cesarz był bardzo blady, w oczach miał łzy, ale niemniej przeto wyraz twarzy był pełen stałego postanowienia.

Pułkowniku! przemówił. Jesteś jednym z najpiękniejszych oficerów w Europie. Mówią także, i chętnie temu wierzę — że masz umysł wykształcony, gruntowne wychowanie, zamiłowanie w sztukach pięknych i umiejętnościach, serce szlachetne i prawy charakter. Co myślisz o córce mojej wielkiej księżnie Marji Mikołajównie.

To pytanie tak wprost wypowiedziane zmieszało młodzieńca. Dawno on już podziwiał i uwielbiał księżniczkę Marję, chociaż nigdy sam przed sobą wyznać tego nie chciał.

— O księżniczce Marji najjaśniejszy panie! odrzekł, i w tej chwili zrozumiał własne serce: Gniew twój panie padł by na mnie gromem niszczącym, gdybym śmiał szczerze wypowiedzieć co o niej myślę; a umarłbym z radości gdybyś wasza cesarska mość pozwolił mi to wymówić.

— Kochasz ją!.. to dobrze! wyrzekł z łagodnym uśmiechem.

I ta ręka wszechwładna, z której bał się gromu, podała pułkownikowi patent na jenerała adjutanta cesarskiego, na dowódzcę konnej gwardji i pułku huzarów, na naczelnika korpusu kadetów, na prezesa akademii sztuk pięknych i członka akademii nauk i umiejętności w Petersburgu, Moskwie, Kazaniu i t. d.

A do tego dodał mu tytuł cesarzowiczowskiej wysokości i kilka miljonów dochodu rocznego.

— A teraz! wyrzekł cesarz po chwili do młodzieńca, który ledwie nie oszalał z radości; czy chcesz porzucić służbę bawarską i zostać mężem wielkiej księżnej Marji.

Młody książę nie był w stanie słowa wymowić, łzami tylko oblał ręce cesarza.

— Widzisz więc, że i ja kocham moją córkę; dodał ojciec ściskając serdecznie zięcia swego.

Następującego 14go lipca w obec posłów wszystkich niemal monarchów europejskich, nastąpiły zaślubiny księcia Beauharnais-Leuchtenberskiego z wielką księżną Marją Mikołajówną, która do nowego życia i nowych wdzięków odżyła. Taki czyn miłości prawdziwej zasługiwał by był wynagrodzonym. Inaczej chciała opatrzność, której wyroki nam śmiertelnym są nieodgadnione. Dnia 5go listopada r. 1852 umarł książę Leuchtenberski w 35 roku życia swego. Do ostatniej chwili był on godny świetnego losu jaki go spotkał; a Marja Mikołajówna została w żałobie i nieutulonej rozpaczy.

Rozmaitość.

* Pan D.. jadąc do Drezna wziął z sobą służącego, rodowitego mazura. Pan D. pozostał w Dreznie parę dni a gdy dla słoty i innych przeszkód nie mógł się ani na chwilę z domu oddalić, wysłał służącego za sprawunkami. Ten przechodząc przez ulicę zobaczył dwóch drezdeńczyków ciągle do siebie przyskakujących i grożących sobie laskami. Przez długi czas przypatrywał się mazur spokojnie tej zaciętej kłótni, lecz w końcu wyrwał jednemu laskę i obydwóch tęgo kijem obłożył. Przestraszeni narobili dużo krzyku, żandarmi przyszli i wzięli do aresztu mazura.

Mija dzień i drugi a służący niepowraca.

Tem zmieszany pan D. poszedł do policyi zapytać gdzieby się sługa jego podzieć mógł. Powiedziano mu iż od dni kilku za pobicie dwóch znakomitych mieszczanów karę odsiaduje.

Pan D.. niechciał uwierzyć żeby tak spokojny człowiek coś podobnego uczynić mógł. Zapytał więc przywołanego za co by na niewinnych ludzi się porywał.

— Bo to proszę pana skakali do siebie jak jendyki i ciągle sobie laskami grozili a do bitki przyjść nie mogło. Mnie to rozgniewało, bo to jakoś nie po naszemu, więc ich rozpędzić chciałem.

M. T.

* Powiadają zawsze o nas że my daleko w tyle zostajemy za cywilizacją europejską. Nie w każdym względzie jest to prawda, przynajmniej co do przemysłowości, możem przytoczyć koncepta przemysłowców, których by się ani Londyn ani Paryż nie powstydził. I tak na prędzce możemy podac do wiadomości trzy zdarzenia dające miarę o coraz więcej kształcącej się u nas przemysłowości.

Przed kilką dniami jegomość jakiś porządnie ubrany i dobrym resonem obdarzony obiadował pod gruszką, po wyjściu jego zabrakło łyżki srebrnej. A ponieważ podejrzenie padało na niego, nazajutrz miano się na ostrożności. Zjadłszy tanią zupę, a jużciż tańszej niema na świecie, jeżeli zapłaciwszy za nią łyżka zostaje się w zarobku, a po zupie coś jeszcze, wyszedł ów jegomość, lecz gdy go na wyjściu zatrzymano, łyżka znalazła się w rękawie. Mimo żywej bardzo obrony, że zrobił to przez zapomnienie, oddano go na policją.

Inny znowu spekulant złapał jednego kupca tym sposobem, żę przyszedł do niego ofiarując mu przedać drzewa większą ilość. Zgodził się z nim za sąg po 13 złr. i wziął od niego 30 blisko ryńskich. Chciał później zadatek podwoić, lecz gdy mu kupiec odmówił, w kilka dni przychodzi z wiadomością, że drzewo jest już za rogatką, i wytumanił od niego znowu kilkanaście ryńskich na akcyzę i rogatkę. Podobała mu się ta spekulacja handlowa, i próbował jej u innego mieszczanina. Lecz tu mu się nie udało. Przyszedł pierwszy kupiec, i zabrał zacnego męża z sobą.

Chodzi nareszcie po mieście spekulant literacki, który od domu, od przyjeżdżającego szlachcica do drugiego biega z listą prenumeracyjną na jakieś dzieła własnego utworu. I mimo mnogich doświadczeń w tej mierze znalazł już kilku ochotników którzy się pokusili o tanią prenumeratę.

Przyjechali od dnia 3. do 6. Grudnia do Lwowa.

PP. Szeliski Kaz., z Chodaczkowa. Szeliski Hen., z Chodaczkowa. Doliniański Wic., z Żółkwi. Borkowski Wład., ze Stryja. Cielecki Józ., z Medenic.

PP. Niezabitowski Włod., z Koropacza. Niezabitowski Nap z Nakła. Nowodworski Piotr, z Żółkwi. Nowakowski Józef, z Kulikowa. Popiel Mich., z Tarnopola. Teodorowicz Aug., z Krakowa Skolimowski Jan, z Dymsk. Christiani Jan i Hen., z Trzciany. Gottlieb Fel., z Dołhomościsk. Barański Kar., z Sambora. Traczewski Piotr, z Brzeżan. Wierzchlejski Hil., z Radymna. Hr. Tarnowski Wal., z Hołobutowa. Romaszkan Zygm., z Uherska. Cielecki Zdzisław z Byczkowiec. Jabłonowski Ant., z Kurzan. Onyszkiewicz Fortunat, z Brodów.

PP. Falkowski Mat. z Witryłowa. Pietruski Konst., z Rudy.

Wyjechali od dnia 3. do 6. Grudnia ze Lwowa.

JE. Hr. Schlick do Sędziszowa. Hr. Skarbek Alf., do Mogdalówki. Januszewski Teofil, do Ubiniec. Gutowski Włod., do Stryia. Kozłowski Zyg., do Cieszyna. Sozański Syl., do Kornalowic. Mautner Mac., do Gródka. Bogdanowicz Mik., do Krakowa. Ustrzycki do Przemyśla. Noel Adam, do Złoczowa.

PP. Kułakowski Kasp., do Hanowiec. Dobrzański Lubin, do Dyszowa. Sozański Cel., do Błażowa. Raczyński Alex., do Podhorec. Br. Petrino Alex., do Krakowa. Hr. Hormuzaki do Czerniowiec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 5. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$110\frac{3}{4}$	Pożyczka 5%	$73\frac{9}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$81\frac{1}{4}$	Akcye banku	924
Londyn za 1 funt szterl.,	10 49	Kolej północna	$2043\frac{3}{4}$
Medyolan za 300 lirów	$110\frac{5}{8}$	Obl. ind.	$68\frac{3}{8}$
Paryż za 300 franków .	$128\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{13}{16}$
Agio duk. ces.	$15\frac{7}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$77\frac{4}{8}$

Wczorajszy Kurs Lwowski Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	12	złr.	5	kr	15
Dukat cesarski	„	5	„	17	„	5	„	20
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	2	„	9	„	6
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	43	„	1	„	44
Talar pruski	„	1	„	39	„	1	„	41
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	12	„	1	„	13
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	88	„	48		89	„	21
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		68	„	10	„	68	„	36
5 proc. pożyczka narodowa		76	„	15	„	77	„	15

Lwów, 5. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 36 złr. — kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 24 złr. 45 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do 21 złr. 30 kr. Owsa po 12 złr. — kr. do 12 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 18 złr. — kr. do 19 złr. 15 kr. — Ziemniaków po 11 złr. — kr do 13 złr. 15 kr. Sąg drzewa bukowego 41 złr. 15 kr. do 38 złr. 45 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 32 złr. 30 kr. Cetnar siana 2 złr. 55 kr. do 3 złr. 20 kr. — Centnar słomy 1 złr. 55 kr. do 2 złr. 15 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 3 Złr. 55 kr. do 4 złr. 7 kr. w. w.

Z powodu święta numer sobotniejszy rozdawany będzie w piątek o godzinie 6. wieczorem.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**